



Mirosław Derecki

EKRAN I WIDZ: ZŁAMANY „ŁUK”

Jerzy Domaradzki należy do reżyserów, którym nie można odmówić prawdziwych zdolności i talentu, ale którzy ciągną artystyczną nić w sposób zaskakująco nierówny.

Jeden z niegdysiejszych młodych entuzjastów kina moralnego niepokoju, współautor (wraz z Agnieszka Holland i Pawłem Kędzierskim) nowelowego filmu „Zdjęcia próbne” ma w swoim dorobku tak ciekawe filmy dokumentalne jak „Tramwajem rzecz San Francisco” czy fabularny, niezwykle ambitny i doskonale zrobiony „Wielki bieg”, ale zarazem tak słabe pozycje, jak „Planeta Krawiec” czy wcześniejsza jeszcze „Bestia”. Po zrealizowanym z prawdziwą maestrią telewizyjnym serialu „Trzy młyny” wg opowiadań Iwaszkiewicza, bardzo przeciętny: „Biały smok”. A teraz - „Łuk Erosa”, wobec którego recenzent staje chwilami bezsilny: tak jest tu wszystko przemieszane: ciekawe zarysowanie głównego tematu filmu, z rozłączającą się później na ekranie dramaturgią całej opowieści; piękne kostiumy, doskonale chwilami zdjęcia. „mocne”, lecz nie bez dużej kultury zrobione sceny erotyczne; i na chwile - odcinki ekranowej pustki, wręcz nie do wytrzymania...

Aliści na film wałą tłumy. A to - jak należy sadzić - właśnie z uwagi na owe całkiem niekonwencjonalne miłosne „przerywniki”, jakich spragniony polski widz, ten nieposiadający dostępu do video, ani uświadczył na „Betty Blue” czy „Blue Velvet”, nie mówiąc już o żalostnej „różowej serii” prezentowanej przy wielkim krzyku i biciu w bębny, na ekranach telewizyjnych.

O co właściwie Domaradzkiemu chodziło, gdy przystępował do realizacji tego filmu? Do tej opowieści opartej „na motywach” książki Juliusza Kadena-Bandrowskiego „Łuk”, która narobiła tyle hałasu w roku 1919? Twierdzi, że chciał odmitologizować zakorzeniony w naszej literaturze i w naszej narodowej świadomości, obraz Matki-Polki; że pragnął ukazać proces wyzwiania się kobiety spod dominacji męczyzny, zachodzący w jakże nietypowych, okrutnych warunkach wojennych, przynoszących zagładę dotychczas uznanych wartości moralnych i etycznych. I w ogóle – skutki odciskane przez wojnę na psychice mentalności ustabilizowanego dotąd i – wydawałoby się – niewzruszonego w wyznawanych przez siebie zasadach, społeczeństwa. A wszystko to na tle I wojny światowej, zupełnie innej od

dotychczasowych – nie pozbawionych elementu romantyzmu – wojen dziewiętnastowiecznych.

Bardzo to słuszne, tylko po co akurat sięgać do Kadenowskiego „Łuku”, książki, która stała się w początkach polskiej niepodległości skandalem: jednakowoż – nie tylko ze względu na niekonwencjonalnie ukazany wewnętrzny obraz bohaterki, nie tylko z uwagi na liczne zawarte w powieści „śmiałe” sceny erotyczne, ujęte w sposób graniczący z naturalizmem? „Łuk” był wszak zarazem powieścią w swoim rodzaju polityczną, nader wyraźnie nawiązującą do problemów patriotycznych i narodowowyzwoleńczych Polaków, do rozgrywek politycznych trwających w latach I wojny społeczeństwo krakowskie. Więcej – był „Łuk” książką demaskatorską, w sposób przejrzyście aluzyjny (dla ludzi z tamtej epoki) ukazująca postawy i motywy postępowania wielu autentycznie istniejących znanych krakowskich osobistości. Tak zresztą by zazwyczaj Kaden-Bandrowska w swoich najbardziej znanych książkach, że wspomnijmy choćby tylko „Generała Barcza”.

„Łuk Erosa” to opowieść o wojennych losach Maryśki Miechowskiej (Grażyna Trela), młodej kobiety ze afer inteligenckich, pozostawionej nagle bez męskiego oparcia: ukochany mąż, który poszedł do Legionów i po kilku miesiącach zniknął, został uznany za zaginionego. Młoda, atrakcyjna mężatka, na pół-wdowa, staje się w miarę szybko „łupem” dawnego uniwersyteckiego współpracownika jej męża (Jerzy Stuhr), a potem w jej życiu pojawiają się następni mężczyźni.

Rzecz w tym, że odmiennie niż w wielu podobnych: przedstawianych dotychczas sytuacjach „ofiara” nadspodziewanie szybko przestaje czuć się poniżona i pogwałcona. Przeciwnie - wkrótce sama przejmuje inicjatywę w damsko-męskich relacjach, stając się kobietą „samodzielną” i „finansowo niezależną”, nie bez znaczącego w tym udziału swej dawnej służącej, która prowadzi teraz luksusowy dom schadzek. A wszystko to się rozgrywa na tle ginącej monarchii austro-węgierskiej. Dekadenckich zabaw w restauracjach przybyłych na urlop z frontu znajomych oficerów, lub zadekowanych bezpiecznie na tyłach – znajomych cywilów. Nawiasem mówiąc, właśnie owe szampańskie zabawy „do granic zatracenia” są w „Łuku Erosa” zrealizowane w sposób wyjątkowo nudny i ślamazarny. Finał następuje w eleganckim szantanie, gdzie bohaterka, przypominająca nieco Lize Minelli ze słynnego „Kabaretu” (tyle, że to była inna epoka) wykonuje piosenkę wywołującą – zdaniem reżysera – entuzjazm widowni. I oto wówczas, pojawia się niczym deus ex machina – zaginiony mąż!

Wszystko mógłbym jeszcze znieść w „Łuku Erosa”, gdyby nie owe melodramatyczne, jak z taniego romansu, zakończenie! Nawet Jerzego Stuhra w roli demonicznego kochanka-erotomana zniósłbym bez szemrania.

„Film nie jest najwłaściwszą metodą nauczania historii - powiedział m.in. Jerzy Domaradzki w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Tygodniowemu” - [...] Gdybym szedł na całość, musiałbym wyjaśnić rozdarcie pomiędzy trzech zaborców, sprawę legionów, zróżnicowanie Polaków wobec tzw. czynu niepodległościowego i lojalizmu wobec Austrii, konfliktów między Piłsudskim a NKN na tle odmiennego rozumienia dróg prowadzących do niepodległości, różnic między I a II Brygadą, a jeszcze socjaliści, a jeszcze konserwatyści, a jeszcze przebieg I wojny światowej... Jak miałem to zmieścić, by film był zrozumiały? Dać na zakończenie wykaz polecanej bibliografii?”

Myślę, że sprawa jest o wiele mniej złożona. Otóż po prostu Domaradzki nie powinien się być odwoływać w swym filmie do Kadena-Bandrowskiego (choćby tylko ubezpieczając się w czołówce filmu informując, iż powstał on „na motywach” książki „Łuk”). Dusze kobiece mógł penetrować reżyser równie dobrze bez wypreparowywania odpowiadającego mu tematu z powieść wybitnego pisarza, a tworząc po prostu, oryginalny scenariusz. I kręcąc dobry, erotyczny, obliczony na szerokiego widza, czyli na „kasę” (a jeśli jeszcze przy tym „psychologicznie pogłębiony”, to tym lepiej) – film. I niech on by sobie był umiejscowiony w epoce kamienia łupanego, w okresie wspólnoty pierwotnej, w czasach pierwszych Piastów, wojen napoleońskich, czy też pierwszej wojny światowej z finałem podczas zakończenia drugiej wojny, również światowej! Tylko po co koniecznie, a to jest nasza polska filmowa specjalność, nawiązywać do literatury, gdy w istocie chodziło (jak chyba słusznie sędzę?) o ukazanie zupełnie innej, niż literacka, strony medalu...

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 6, s. 12.